all about freedom festival 11.
13–21/10/2017/GDAŃSK
Europejskie Centrum Solidarności / pl. Solidarności 1

REPORTAŻ NA FESTIWAL

Teksty uczestników warsztatów METAFORA FAKTU, które odbyły się w ECS

ZABIJA ZIEMIA

Krzysztof Świętalski

– Jak ktoś jebnął, to jebnął. Po co drążyć temat – mówi Grzegorz, alpinista przemysłowy. – Jesteśmy elitą wśród roboli. I czujemy się z tego dumni.

Pracują na wieżowcach i suwnicach, na masztach albo wewnątrz wysokich kominów. Zdarza im się też ściągać paralotnię z drzew. W razie wypadku sami muszą sobie pomóc, dlatego zawsze pracują w minimum dwuosobowym składzie. Praca na wysokości może oznaczać wiszenie przez długi czas. Niekiedy w ekstremalnych sytuacjach, w deszczu albo gdy nagle zerwie się burza, niekiedy z małymi przerwami nawet po 12 godzin, ale i bywa, że przerwy też spędza się na linach.

LEPSZA LINA NIŻ DRABINA

Grzegorz, z wykształcenia technolog drewna, od roku pracuje jako alpinista przemysłowy. Nie jest łatwo się z nim umówić. Parę razy musimy przekładać spotkanie. Później powie, że wysokościowiec nie ma pojęcia, jak będzie wyglądał jego tydzień pracy, bo w każdej chwili może się dowiedzieć, że za parę dni jedzie na tydzień do Warszawy lub za granicę.

W końcu się udało. Spotykamy się w drogim klubie na najdroższej ulicy w Gdańsku. Grzesiek wyróżnia się wśród obcokrajowców roboczym ubraniem. Właśnie skończył pracę przy czyszczeniu nowego luksusowego hotelu na Wyspie Spichrzów, 30 metrów nad ziemią.

Grzegorz podobnie szybko został wysokościowcem, jak sam wyrzuca z siebie słowa.

– Przyjechałem do Gdańska na trzy dni, a jestem już od roku – zaczyna opowieść.

Zaczynał w administracji, ale znudziła go praca w garniturze. Rzucił więc wszystko, wyjechał za granicę i podjął pracę fizyczną. Skakał kiedyś ze spadochronem, może to adrenalina najbardziej go pociąga w tym zajęciu?

– Nie, to dzięki ludziom ta praca jest fajna – tłumaczy Grzegorz. – Pracują tutaj specyficzni ludzie. Czuje się jakieś braterstwo, każdy każdego rozumie. Teraz są takie czasy, że od ludzi wymaga się, by mieli poglądy polityczne. Trzeba być po lewej albo po prawej stronie. Trzeba lubić albo nie lubić imigrantów. U nas takich tematów nie ma. My robimy swoje. Jeśli codziennie musimy oddać komuś opiekę nad swoim życiem, to inne rzeczy nas nie interesują, są śmieszne w tym momencie. Czuję się tutaj szczęśliwy.

Grzegorz mówi, że ma do wysokości szacunek.

– Ale to nie zawsze sama wysokość jest istotna, tylko sposób, w jaki jesteśmy zabezpieczeni i na czym wisimy. Każdy linowiec ci powie, że woli wisieć 100 metrów nad ziemią na linie, niż być 15 metrów nad ziemią na drabinie. Na wysokiej drabinie człowiek nie ma się czego złapać, przytrzymać, jest stresująco.

MENTOLOWA WON BEN-GAY

– Mamy takie powiedzenie, że wysokość nie zabija, tylko ziemia zabija – mówi Konrad, w zawodzie od 12 lat. Ukończył technikum hotelarstwa, później studia z kulturoznawstwa i zarządzanie. Chciał być geologiem, ale nauki nie ukończył, bo nie był w stanie pogodzić jej z pracą. Alpinistyką przemysłową zainteresował się przez swoje hobby – wspinaczkę górską, którą uprawiał jeszcze jako nastolatek.

W odróżnieniu od Grześka zajmuje się nie tylko alpinistyką przemysłową, ale i szkoleniem na kilka stopni wtajemniczenia technika dostępu linowego, czyli pracownika wysokościowego.

Hala, w której szkolą się wysokościowcy, z pewnością mogłaby zachwycić każdego amatora wspinaczki – gąszcz żelaznych masztów i stalowych konstrukcji połączonych skomplikowanym układem lin. Na kurs poza Polakami przyjechali Niemiec i Malezyjczyk. Pierwszy poziom zaawansowania może przejść każdy, ale zdarza się naciągnięcie mięśni czy nawet ich zerwanie.

W czwartym dniu szkolenia Konrad z drugim trenerem Bartkiem śmieją się z kursantów śmierdzących ben-gayem. Okazuje się, że kursanci zdążyli już obudzić mięśnie zwykle uśpione. Jedyną radą jest natarcie ich maścią przeciwbólową. Ben-gay pachnie intensywnie mentolem. Z powodu bólu mięśni zdarzało się już ludziom rezygnować z kursu.

Zdaniem Konrada w tym fachu najważniejsze jest zdawanie sobie sprawy z zagrożeń. Tymczasem kursanci symulują akcję ratowniczą. Muszą ocalić linowca, który spawał belkę nad taflą morza i stracił przytomność. Nie można opuścić go na dół, rozwiązaniem jest zbudowanie układu lin pozwalających przetransportować poszkodowanego człowieka na zaznaczoną iksem platformę. Zadanie nie jest proste, bo z poszkodowanym należy obchodzić się delikatnie.

– Normalna robota by nas zabiła – Konrad analizuje przesłanki, dla których wybrał taki fach. – Robota w biurze albo robota przy taśmie w fabryce to dopiero jest tragedia. Ale gdybyśmy wciąż wykonywali te same prace wysokościowe, to też by nas to pewnie zabiło. Są chłopaki, które wyjeżdżają na platformę i przez całe życie robią tę samą czynność, na przykład cały czas malują albo piaskują. To też nie jest jakoś superfajne. A wolny strzelec, jak ja, ma o tyle fajnie, że co robota, to jest coś innego. Turbiny wiatrowe albo malowania, konstrukcje, maszty pomiarowe. Tu trzeba być złotą rączką. Trochę elektrykiem, trochę malarzem, trochę kimś tam jeszcze.

MOŻE CIASTKO?

Krzysztof jest założycielem firmy, w której pracuje Grzesiek, Konrad i wielu innych alpinistów. Zarabiał na pracach linowych jeszcze jako nastolatek, myjąc dla rodziny trudno dostępne okna. Do tej pozornie prostej

Hala treningowa / Fot. Krzysztof Świętalski

Alpiniści na żaglowcu Dar Młodzieży montują siatki zabezpieczające przed skokami akrobatów, mówią, że to lekkie i przyjemne zajęcie / Fot. Krzysztof Świętalski

pracy wystarczyło przygotować most linowy, czego nauczył się w harcerstwie. Ukończył mechanikę i budowę maszyn, po studiach przez kilka lat prowadził firmę budującą hale, ale męczyła go praca papierkowa. Przełomowym momentem w jego karierze była budowa gdańskiego stadionu piłkarskiego, gdzie pracował ponad dwa lata przy montażu konstrukcji dachu. Potem posypały się kontakty zagraniczne. Usługi jego firmy nie są tanie, ale często dużo tańsze od kosztów stawiania wysokich rusztowań.

Zdaniem Krzysztofa w pracy na wysokości najważniejsze jest myślenie i szacowanie ryzyka.

– W Polsce mniej więcej 30 procent wypadków w przemyśle i budownictwie to są upadki z wysokości – cytuje statystyki. – Tylko te statystyki nie podają, jakie to są upadki, czy na przykład nie był to murarz, który zleciał z drabiny. Wypadki *stricte* na linach to są pojedyncze przypadki i z reguły zdarzają się osobom, które nie mają szkoleń systemowych.

W Gdańsku większość obiektów nie przekracza 20 metrów wysokości. Niewysoko, ale wystarczy, żeby podziwiać widoki.

– Jak wchodzi się na nowy obiekt, jest pogoda, słoneczko, człowiek rzuci okiem, wyciągnie telefon, zrobi fotkę, a później to trzeba pracować. Nam zależy na tym, żeby wykonać pracę szybko i w dobrej jakości, wrócić do domu i odpocząć – mówi Krzysztof, przyznając, że na wysokości różne rzeczy można zaobserwować. – Kiedyś przy malowaniu kościoła w Wejherowie, w bloku naprzeciwko była jedna pani, która widziała, że tam wisimy, i chodziła po domu, jak ją Pan Bóg stworzył. Innym razem przy czyszczeniu elewacji na budynku mieszkalnym pani otwiera okno i pyta: „Kawki?", a ktoś inny proponuje: „Może ciastko?".

HERBATA W TERMOSIE

Wysokościowcy nie chcą mówić o wypadkach. Konrad wciąż jednak pamięta groźną sytuację sprzed trzech lat. Chłopaki pracowały w Szwecji na 180-metrowym maszcie. Prognoza pogody była kontrolowana co 15 minut. Od rana nie spadła jedna kropla deszczu.

– Tyle, że przyszła jedna chmurka i trzy razy piorun uderzył w tę konstrukcję – opowiada Konrad. – Taki był szok, że chłopaki pytały przez radio, czy mogą schodzić na dół. Duński szef powiedział, że nie da rady zejść, bo się boi dotykać metalu, żeby go nie poraziło. No i musiały chłopaki zwieźć go na linach, 180 metrów na dół. Czy oni dotykali tego masztu? Nikt tam nie zdawał sobie sprawy, czy jak dotknie, to go nie porazi. To była szybka akcja, wtedy raczej nie zwraca się uwagi na takie pierdoły. Jak ma się kogoś zwieźć, to się szybko zwozi i tyle.

Nieobliczalność wpisana jest w rytm pracy wysokościowców. Następnego dnia kursu Lars i Witek, ubiegający się o certyfikat trzeciego poziomu zaawansowania, mają przetransportować cenny ładunek przez skomplikowany system żelaznych masztów i belek oraz atrapę komina. Kursanci oceniają, że wykonanie zadania zajmie im półtorej godziny. Ostatecznie okazuje się, że ponad cztery.

W hali panują cieplarniane warunki, ale w naturze – o czym opowiada Konrad – znacznie częściej jedzie się do pracy i dłużej czeka na dobrą pogodę, niż rzeczywiście pracuje. Wspomina miesięczny wyjazd, w trakcie którego z powodu złej pogody praca zajęła tylko dwa dni.

Bywa jednak i tak, że żal czasu na przerwę.

– Jak stawia się maszt o wysokości 180 metrów i jest się w jego połowie, to nie chce się schodzić 40 minut, żeby zjeść kanapkę i potem 40 minut wracać – opowiada Krzysiek. – Bierzemy wtedy coś sobie do plecaka albo chłopaki z dołu wrzucają nam pizzę do worka i na tym maszcie jemy i z termosika pijemy herbatę.

▪ Autor dziękuje kierownictwu firmy ROJAM za umożliwienie obserwacji specjalistycznych szkoleń wysokościowych

METAFORA FAKTU | Reportaż jest pokłosiem warsztatów METAFORA FAKTU, organizowanych przez bibliotekę ECS. Dwanaście osób od marca do września tego roku szkoliło się pod okiem Włodzimierza Nowaka – pisarza, dziennikarza, reportera „Dużego Formatu" (magazynu reporterów „Gazety Wyborczej"), autora książek, finalisty nagrody Nike.

KRZYSZTOF ŚWIĘTALSKI | Z wykształcenia socjolog, dziś doradca zawodowy. Praca, którą wykonuje, nauczyła go słuchania i wyostrzyła ciekawość. Stąd już tylko krok – jak mówi – do zostania reporterem...

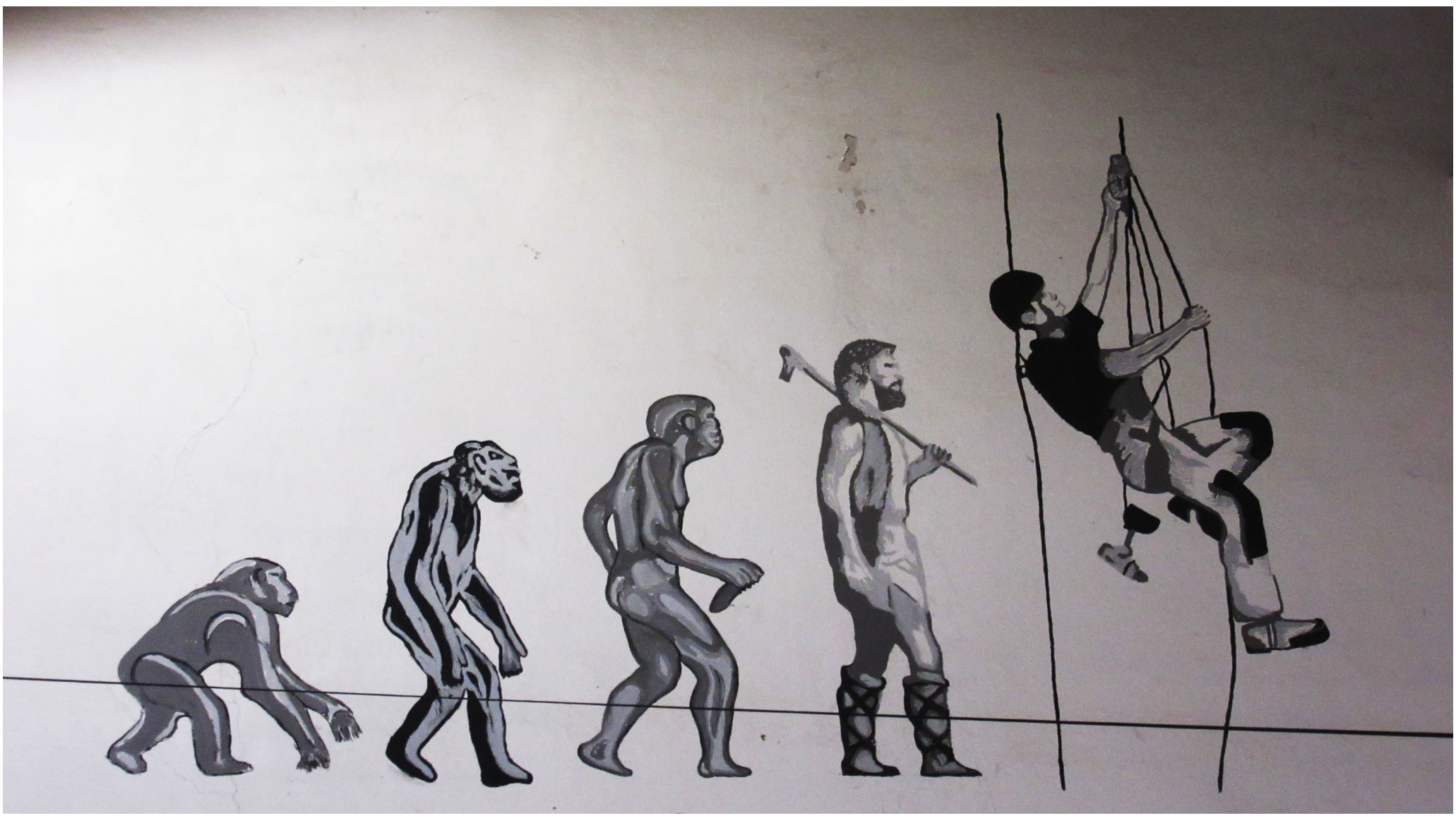

Od małpy do..., czyli ewolucja na muralu w hali treningowej / Fot. Krzysztof Świętalski